

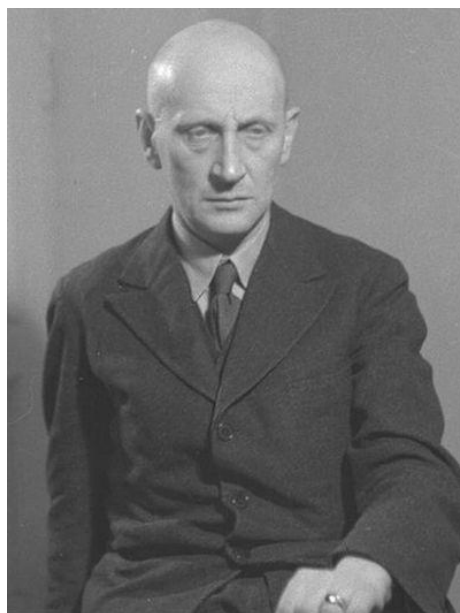
## Kryzys, interwencja i etatyzm

Autor: **Adam Heydel**

Pierwodruk: „Ekonomista”, 1931, t. I, s. 3–19

Używam świadomie słowa „kryzys” w znaczeniu popularnym, nie zaś w znaczeniu ustalonym przez terminologię naukową. Mam więc na myśli nie sam fakt załamania się koniunktury zwykłej, ale stan depresji, w jakim znajduje się życie gospodarcze całego świata od jesieni 1929 roku.

Kryzysy bywają dwojakie. Jedne to kryzysy „niedostatku”. Katastrofalne nieurodzaje, wojny, rewolucje, związane z nimi upadek kultury i zdolności do pracy muszą wywołać depresję, klęskę niedostatku.



Inny charakter mają kryzysy „nadmiaru”, występujące przy widocznej obfitości dóbr.

O ile kryzysy niedostatku zależą od czynników leżących poza życiem gospodarczym, a tym samym 1) nie dają się wyjaśnić teoretycznie na gruncie ekonomii i 2) nie noszą same w sobie czynników uzdrowienia, a zatem mogą się przeciągać długo, o tyle kryzysy obfitości związane są z czynnikami ściśle gospodarczymi i z konieczności zawracają i przemieniają się w okres szybko wzrastającego dobrobytu. Jasne jest, że kryzys współczesny jest (po stronie towarowej) kryzysem nadmiaru.

Kryzysy nadmiaru można z kolei podzielić na dwie grupy: kryzysy koniunkturalne, powtarzające się we względnie regularnych 6–10-letnich odstępach czasu, i kryzysy, którym się nadaje nazwę „strukturalnych”. Wolałbym nie posługiwać się tym terminem, bo nie umiem dobrze rozróżnić zmian koniunkturalnych od zmian strukturalnych. Wolę tę drugą grupę kryzysów nazwać kryzysami powstającymi na tle ujemnego kierunku trendu, tj. zmiany warunków, której skutki przekraczają swoją długotrwałością okres falowania

koniunkturalnego. Trend ujemny musi sprowadzić ograniczenie produkcji przynajmniej w pewnych działach lub pewnych krajach, jeżeli jest skutkiem przesunięcia się centrum geograficznego (np. ujemny trend dla rolnictwa Europy przy końcu XIX wieku), lub nawet ogólne zmniejszenie produkcji, gdy wynika np. ze stosunkowego braku pieniądza. Ale jednak, podobnie jak kryzys koniunkturalny, zaczyna się w atmosferze nadmiaru po stronie towarowej. Dlatego nie jest łatwo odróżnić kryzys charakteryzujący początek trendu ujemnego od „normalnego” kryzysu koniunkturalnego. Mogą one zresztą występować łącznie, i ten sam kryzys może mieć za przyczynę dwa uwarstwienia: niską koniunkturę normalną i niskowy trend. Może także zajść tego rodzaju komplikacja, że przeciwważą się występujące równocześnie: dodatnia koniunktura i ujemny trend, lub odwrotnie.

Rozwikłanie tych zależności jest szczególnie trudne w stosunku do kryzysu współczesnego.

Istnieje kilka poważnych hipotez, które na karb zmiany trendu składają kryzys współczesny.

Jedną z najbardziej znanych jest hipoteza Gustawa Cassela o braku złota. Perspektywa, że złota w krótkim czasie zacznie być za mało, by gospodarka światowa mogła się rozwijać przy dawnym poziomie cen, jest bardzo prawdopodobna. Poziom cen najprawdopodobniej (*ceteris paribus*) będzie się w ciągu najbliższego dziesiątka lat obniżał. To powoduje zawsze trudności adaptacyjne płac, stopy procentowej i cen — powoduje, słowem, deflacyjną atmosferę *à la longue*, która musi przynosić ze sobą trend depresji. Cassel dowodzi, że już dziś odczuwamy działanie braku złota. Oblicza on mianowicie, że jeśli postęp produkcji odbywa się w tempie przedwojennym (3 procent przyrostu rocznie), to w roku 1930 dla utrzymania dawnego poziomu cen trzeba by było produkcji złota w ilości 120 milionów funtów. Produkcja wynosiła zaś w roku 1930 tylko 80 milionów funtów. Zestawienie tych cyfr jest na pierwszy rzut oka bardzo przekonujące. Nie można jednakże nie przyznać, że argumenty przeciwników hipotezy Cassela podważają dosyć poważnie wiarygodność jego tezy. Podają oni w wątpliwość twierdzenie o 3-procentowym przyroście rocznym produkcji. Ale przede wszystkim zwracają uwagę na fakt, że kryzys z wielką siłą zaznaczył się w Stanach Zjednoczonych, które wszakże rozporządzają ogromnym

zasobem złota. W ten sposób druga teza Cassela, o złej dystrybucji złota pomiędzy poszczególne kraje, podrywa tezę pierwszą.

Drugą znaną hipotezą, sprowadzającą kryzys do czynników pozakoniunkturalnych, jest twierdzenie o hiperprodukcji przemysłowej, wywołanej rozwojem przemysłu w krajach egzotycznych, przede wszystkim azjatyckich. Pod wpływem konkurencji tych krajów, rozporządzających bardzo taną pracą, wszystkie uprzemysłowione kraje starego i nowego świata mają przechodzić okres długotrwałej i coraz ostrzejszej depresji. Teza ta, w Polsce od dawna wysuwana przez Romana Dmowskiego, a popierana przez prof. Edwarda Taylora, ma za sobą silne argumenty. Nie należy jednak prześlepić dwóch względów, które mogą ją osłabiać:

1) Na dalszą metę rozwój przemysłu w krajach zamorskich sam przez się nie powinien stanowić niebezpieczeństwa dla przemysłu Europy i Ameryki Północnej. Jest rzeczą wiadomą, że najżywsze stosunki wymienne panowały zawsze właśnie wśród krajów wysoko uprzemysłowionych, które nawzajem były dla siebie najlepszymi klientami i dostawcami, np. między Anglią a Niemcami. Naturalną bowiem i konieczną tendencją rozwoju będzie specjalizacja w gałęziach produkcji przemysłowej, znajdujących w poszczególnych krajach różne warunki przyrodnicze. Im większa rozbieżność tych warunków, tym łatwiejsza i dalej idąca specjalizacja. Oczywiście, kraje starego przemysłu musiałyby przejść bolesny okres przestawienia swojej produkcji.

2) Hiperprodukcja przemysłowa powinna sama przez się dawać szczególnie korzystne warunki rolnictwu. Niezaprzeczoną zaś faktą wydaje się szczególnie ostre zaakcentowanie międzynarodowego kryzysu właśnie w rolnictwie.

Obie tezy: braku złota i konkurencji przemysłu krajów egzotycznych, mają za sobą silne argumenty i obie wykazują słabe punkty. Obie wskazywałyby, że znajdujemy się w początku trendu zniżkowego. Nie podejmuję się rozstrzygnąć już dzisiaj, czy tak jest istotnie. Muszę natomiast wskazać, że jeśli chodzi o kryzys współczesny, to przyszedł on po latach ogromnego ożywienia, w czasie których trend zniżkowy się nie zaznaczał, a od chwili załamania się ożywienia w gospodarce światowej nie upłynęło jeszcze półtora roku. Skoro weźmiemy pod uwagę, że normalny okres koniunkturalnej zniżki trwa trzy do pięciu lat, to jasne się stanie, że wszelkie przepowiednie, sprowadzające kryzys do czynników trendu, mogą się okazać mylne. Czas wystąpienia kryzysu —

dziewięć lat po kryzysie 1920 roku — odpowiada zupełnie dokładnie normalnej rozpiętości fali koniunkturalnej. Kryzysu spodziewano się już o rok czy dwa lata wcześniej. W ciągu ostatnich dwu miesięcy mnożą się za granicą wiadomości o „pierwszych jaskółkach poprawy”.

Poważne autorytety sądzą, że jeśli nawet te wiadomości są przedwczesne, to można przypuszczać, że doszliśmy do dna fali depresji i powoli zaczniemy z niej wychodzić. To raz jeszcze potwierdzałoby przypuszczenie o koniunkturalnych składnikach obecnego kryzysu.

W swoim teoretycznym szkicu pt. *Teoria koniunktury*, złożonym I Zjazdowi Ekonomistów Polskich w Poznaniu<sup>1</sup>, stanąłem na stanowisku, że jedyną teorią koniunktury, która może wyjaśnić falistość rozwoju życia gospodarczego, jest teoria monetarna. Ogólna zwyżka cen przy wzrastającej produkcji, która charakteryzuje okres koniunktury zwykłej, da się wyjaśnić tylko *sui generis* inflacją. Podobnie też ogólna zniżka cen przy równoczesnym spadku produkcji, występująca stale w okresie koniunktury niskiej, musi się odbywać w atmosferze deflacji. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że wszelka inflacja przebudowuje w sposób chorobliwy życie gospodarcze, tak że ono nie może na stałe utrzymać wypaczonych stosunków ilościowych poszczególnych działów produkcji, to tym samym wyjaśniamy konieczny związek i następstwo ożywienia i depresji.

Główną rolę przypisuję polityce stopy dyskontowej. Niewątpliwie panująca tendencja do rozszerzania kredytu przez banki emisyjne i banki depozytowe, które zamiast budować kredyt na kapitalizacji, próbują kapitalizację antycypować, prowadzi do tego, że stopa procentowa zostaje wyrwana ze związku z całością życia gospodarczego, przestaje być ceną równowagi wolnokonkurencyjnej, jaka ułożyłaby się samorzutnie ze stosunku podaży i popytu kapitału (tj. istotnych oszczędności), a staje się wielkością w dużej mierze dowolnie ustaloną przez kierowników życia finansowego. Ustalana jest zaś zbyt nisko. Do tego prowadzą z jednej strony zrozumiałe interesy akcjonariuszy instytucji finansowych, z drugiej — błędnie pojmowany wzgląd „dopomagania” rozwojowi życia gospodarczego.

---

<sup>1</sup> Pamiętnik Pierwszego Zjazdu Ekonomistów Polskich odbytego w Poznaniu w dniach 24–26 maja 1929 r., Warszawa 1930, s. 283–310.

Skoro wysokość stopy procentowej nie jest wynikiem wolnej gry podaży i popytu, stopa procentowa przestaje odgrywać właściwą rolę regulatora życia gospodarczego i podobnie jak każda cena ustalana dowolnie, w drodze interwencji, wywołuje ona cały szereg zaburzeń w życiu gospodarczym.

Zbyt niska stopa procentowa prowadzi do faktu hiperinwestycji. Opłaca się bardziej inwestycja niż lokata oszczędności w pieniądzu. Dobra kapitałowe rosną w cenę automatycznie w wyższym stopniu aniżeli dobra spożywcze. Przy stopie 5-procentowej warsztat produkcji dający 5 tysięcy złotych netto wart jest 100 tysięcy złotych, przy stopie 4-procentowej wartość tego samego warsztatu podniesie się do 125 tysięcy złotych. Żłudna rentowność wszelkiej produkcji zwiększa szybkość obiegu pieniądza, co obok inflacji kredytowej raz jeszcze wypycha ceny w górę. Życie gospodarcze ulega spaczeniu. Znane są nam wszystkim fakty ucieczki od pieniądza, zamrażanie kapitału obiegowego w zbędnych inwestycjach w czasach ostrej inflacji na cele budżetowe. Przypomnę anegdoty Keynesa, który w ostatnim okresie hiperinflacji w Moskwie widział — jak twierdzi — ludzi kupujących na dziesiątki szcztoki do zębów i starego kawalera, który zakupił tuzin pieluszek dzieciennych, w braku innych towarów. Są to krańcowe przypadki procesu, który odbywa się przy każdej wyższości cen, a który polega na hiperinwestycji lub odwróconej tezauryzacji, tj. nagromadzeniu niepotrzebnych zapasów towarowych. Konsekwencją tego procesu jest wyższość stopy procentowej. Ów proces musi się zakończyć katastrofą, tj. brakiem zbytu, bezczynnością warsztatów produkcji i bezrobociem. Załamanie się rentowności produkcji prowadzi do ograniczenia kredytu, do zwiększenia rezerw pieniężnych po stronie wierzycieli, zatem do niższej stopy procentowej i do deflacji. W tym okresie odbywa się przystosowywanie się życia gospodarczego do dawnych zdrowych proporcji produkcji, konsumpcji, inwestycji i lokat.

Zbyt liberalna polityka kredytowa wywołuje z kolei, jak narkotyk, zbytne ożywienie, które podobnie jak pierwsze kończy się załamaniem i przejściem w stan depresji.

To wyjaśnienie falowań koniunkturalnych wydaje mi się dostateczne. Zaznaczam zarazem, że położenie nacisku na to, iż kryzysy spowodowane są zerwaniem tej sprężyny, jaką jest samorzutnie układająca się stopa procentowa, jest *eo ipso* wskazaniem na interwencję jako na zasadniczy czynnik falowań, a więc i depresji życia gospodarczego.

Stanąłem na stanowisku, że kryzys, jaki przeżywamy, wykazuje (obok innych cech) znamiona kryzysu koniunkturalnego. Gdzie szukać w nim elementów monetarnych, które są główną przyczyną falowań koniunkturalnych? Sporna jest kwestia poprzedzającej go inflacji. Niektórzy ekonomiści wskazują na fakt, że ogromny przed 1929 rokiem rozwój produkcji odbywał się po cenach na ogół spadających. Czy można mówić o inflacji wobec faktu zniżkowania cen, względnie utrzymywania się dawnego ich poziomu? Stajemy tu przed bardzo zawikłanym teoretycznym problemem.

W najprostszym ujęciu inflacją jest przyrost pieniędzy przewyższający przyrost dóbr. Jeżeli jednak wyobrazimy sobie znaczną zniżkę kosztów produkcji, której nie towarzyszy zniżka cen, to dostrzeżemy zmiany w układzie gospodarczym, analogiczne do zmian przy inflacji *sensu stricto*. Nastąpi mianowicie wybitny wzrost rentowności produkcji, który musi popychać do hiperinwestycji. Wydaje się w związku z tym niewątpliwe, że wielki boom giełdowy amerykański, którego załamanie się stało się *causa proxima* kryzysu, był wywołany zbyt liberalną polityką kredytową o cechach inflacji. Toteż kto wie, czy nie należy przyznać racji tym pisarzom, którzy dowodzą, że ceny towarów spadały za mało i za wolno w latach 1921–1929<sup>2</sup>. Zniżka kosztów produkcji w związku z jej racjonalizacją i mechanizacją była tak znaczna, że usprawiedliwiała jeszcze znaczniejszy spadek cen. Ceny podtrzymywała inflacja. Bardzo ciekawe są spostrzeżenia prof. Edwarda Taylora, którego zdaniem od roku 1914 jesteśmy w okresie ciągłej, osłabionej tylko nieco w roku 1921, inflacji w skali światowej. Prof. Taylor oblicza, że obieg monet i banknotów podniósł się z 7 miliardów dolarów przed wojną do 16 miliardów dolarów<sup>3</sup>. Jest to zwyżka przekraczająca oczywiście znacznie przyrost produkcji w tym czasie.

---

<sup>2</sup> Warto zwrócić uwagę i na to, że w tym okresie mamy ogólną zwyżkę indeksów między r. 1921 a 1925, a po zniżce w r. 1926 przychodzi powtórna zwyżka, obejmująca lata bezpośrednio poprzedzające kryzys. Indeks hurtowy podnosi się w Stanach Zjednoczonych ze 137 (1927) do 140 (1928), w Niemczech ze 134 (1926) do 140 (1928), we Francji ze 118 (1926) do 126 (1928), we Włoszech ze 132 (1926) do 134 (1928), w Polsce ze 105 (1926) do 119 (1928). Zniżkę wykazuje indeks w 1928 tylko w Anglii. („Rocznik Statystyki...” 1929, s. 652).

<sup>3</sup> Wg obliczeń prof. Taylora obieg papierowy, złota i bilonu wynosił przed wojną 7204,6 mln dolarów, w r. 1926 — 16 001,4 mln dolarów. Od cyfry tej trzeba odjąć 2624 mln

Chcąc podać ostrożną diagnozę obecnego położenia, moglibyśmy więc tak sytuację scharakteryzować: życie gospodarcze jest w fazie depresji koniunkturalnej, która — być może — występuje na szerszym tle zwrotu trendu. Wydaje się natomiast niezbyt prawdopodobne, by ujemny trend, w którego początkowy okres wkracza życie gospodarcze, zaznaczać się mógł już dotychczas wyraźnie na stanie gospodarki światowej.

Zwraca jednakże uwagę wyjątkowe natężenie depresji. Według opinii rzeczoznawców ma to być najcięższy kryzys, jaki świat cywilizowany przechodził. Bezrobocie sięga cyfr 15–18 milionów ludzi, wraz z na pół zajętymi dochodzi do 20 milionów. Ceny spadły w ciągu 15 miesięcy o 15–20 procent, kursy akcji o 40–50 procent. Są to wielkości rekordowe. Należy zdać sobie sprawę z przyczyn, którym można by przypisać to wyjątkowe natężenie kryzysu. By je odnaleźć, trzeba raz jeszcze sięgnąć do teorii. Teoria monetarna, która wydaje mi się przekonująca, stoi na stanowisku, że przy wyłączeniu inflacji (i deflacji) nie może być kryzysów nadmiaru, kryzysów obfitości. Kwestionuje ona możliwość powstania kryzysu ogólnogospodarczego z koniunktur częściowych. Założeniem takiego postawienia sprawy jest, oczywiście, wielka płynność życia gospodarczego, ułatwiająca gładką i szybką jego autoregulację. Rozumowanie jest takie: niższa np. cen płodów rolniczych, wywołana ich hiperprodukcją i powodująca nieopłacalność rolnictwa, prowadzi do spadku płac, a tym samym do obniżenia kosztów produkcji przemysłowej albo, jeśli płace normalne nie spadną, jest ona równoznaczna ze wzrostem płac realnych. W obu wypadkach powinna wywołać korzystną koniunkturę przemysłową. Bowiem przemysł ma możliwość produkować taniej i nie odczuje tym samym zmniejszenia rynku zbytu albo zwiększy się siła kupna warstwy robotniczej. Przy założeniu zupełnej swobody i płynności życia gospodarczego te reakcje powinny ilościowo nawet dokładnie się równoważyć. Takie ujęcie jest oczywiście wysoce abstrakcyjne. Tarcia (frykcje), które są istotną cechą życia gospodarczego, utrudniają dostosowanie się układu i opóźniają osiągnięcie nowej równowagi. Życie znajduje się w dłuższej lub krócej trwającym okresie przejściowym, okresie nierównowagi. Stan nierównowagi jest zaś okresem strat całości życia gospodarczego.

---

dolarów złota, wypchniętego z obiegu przez papier; pozostaje wzrost 27 do 13 377,4 mln dolarów.

Stan równowagi możemy, nie wdając się w bardziej subtelne rozważania, określić jako stan równej rentowności krańcowych warsztatów we wszystkich gałęziach produkcji. Im dalej odchyła się od tego poziomu opłacalności choćby jeden tylko dział produkcji, tym większa jest strata ogólna. Im większe natężenie frykcji, tym dłużej trwa i tym jest trudniejszy powrót do równowagi.

Frykcje mają dwa źródła. Jedno leży w samej strukturze życia gospodarczego: w trudności przenoszenia kapitału i pracy, w niepodzielności elementów składowych (a co za tym idzie, nieciągłości funkcji wyrażających ilościowe zmiany). Drugim, bardzo obfitym źródłem frykcji są: interwencja i etatyzm. Wszelkie zarządzenia władzy mogą tylko życie gospodarcze od punktu równowagi oddalać. Nie ma takich, które by mogły zbliżyć czy ułatwić zbliżenie do punktu równowagi. Zarządzenia utrwalające pewne wielkości życia gospodarczego odbierają całym połączeniem tego życia płynność i elastyczność. Rozwinięty etatyzm wprowadza w organizm gospodarczy nowotwór, rozrastający się kosztem otoczenia i niepoddający się prawom reakcji ekonomicznych. Interwencja więc i etatyzm wzmacniają w stopniu bardzo znacznym frykcje, a tym samym potęgują kryzys.

Rozpatrzmy, czy i w jakim stopniu można natężenie obecnego kryzysu przypisać nadmiernej interwencji i etatyzmowi. Związek wydaje się już na pierwszy rzut oka niewątpliwy. Rozrost interwencji i etatyzmu po wojnie jest na całym świecie ogromny. Nie byłoby nic dziwnego w tym, gdyby niebywała wielkość natężenia kryzysu była w związku z niewidzianym od stu lat natężeniem interwencji i etatyzmu.

Poszczególne objawy kryzysu mają, oczywiście, swoje odrębne powody. Czy interwencja i etatyzm nie zaostrzyły ich jednak?

Zacznijmy od kryzysu rolnictwa. Jego natężenie nie jest zupełnie wytłumaczalne przyczynami wyłącznie naturalnymi. Mówi się o hiperprodukcji rolniczej. Cyfry szacunkowe wykazują jednak, że przyrost produkcji rolniczej jest, w zestawieniu ze wzrostem produkcji przemysłowej, niewielki. Oblicza się przyrost powojenny ludności na 10 procent przyrost produkcji surowców na 40 procent, przyrost roślinnych środków pożywienia na 16 procent. Niektórzy ekonomiści wskazują na zmianę po stronie popytu, na przesunięcie się konsumpcji od zbóż ku pożywieniu mięsno-nabiałowemu, jarzynom, owocom itp. To nie może powodować kryzysu zbytu dla całości rolnictwa. Można by co



najwyżej nawiązywać ten fakt do spadku ceny zbóż. Ale i tu rodzą się wątpliwości. Produkcja sześciu głównych gatunków zboża wykazuje wzrost po wojnie zaledwie o 8,3 procent, to znaczy przyrost mniejszy od przyrostu ludności o 1,7 procent. Nawet więc zmniejszenie popytu na zboże nie powinno chyba spowodować tak znacznej zniżki cen. Słusznie zapewne podkreśla prof. Taylor nieelastyczność popytu na zboże. Drobną już nadwyżką podaży w stosunku do popytu może cenę poważnie obniżyć. Czy jednak nie działały tu czynniki interwencji?

Trzeba pamiętać, że inflacja wpływa przede wszystkim na ceny dóbr kapitałowych. Jeżeli więc przyjmiemy tezę monetarnego pochodzenia fali koniunkturalnej, to musimy w konsekwencji przypuścić rozbieżność ruchu cen produktów przemysłowych kapitałowych i cen [produktów – red.] rolniczych na niekorzyść tych ostatnich w okresie boomu, poprzedzającym załamanie roku 1922. Inflacja jest tu pierwszym czynnikiem interwencji, nie państwowej wprawdzie, ale wynikającej z wyłączenia polityki finansowej z wolnej gry życia gospodarczego.

Drugim czynnikiem, przesuwającym stosunki na niekorzyść rolnictwa, jest polityka protekcji celnej dla przemysłu. Rozwinięta szeroko po wojnie, prowadzi ona do dwóch skutków: a) wyżki cen przemysłowych w stosunku do cen rolniczych oraz b) absolutnej zniżki cen rolniczych. Jeżeli wyobrazimy sobie, że suma cen produktów przemysłowych i rolniczych łącznie równa się 200, przy czym suma cen produktów przemysłowych równa się 100 i suma cen produktów rolniczych również 100, to podniesienie cen produktów przemysłowych o 25 procent dzięki podwyższeniu ceł nie pozostawi cen produktów rolniczych na dawnym poziomie. Nowy poziom — przy założeniu tej samej wielkości obiegu ( $M \times V$  według wzoru Irvinga Fishera) — będzie: suma cen przemysłowych = 125, suma cen rolniczych = 75. Rozpiętość cen jednostkowych wytworów przemysłowych i rolniczych będzie jeszcze większa, jeśli uwzględnimy fakt, że podwyższona ochrona spowodzi zmniejszenie sumy dóbr w kraju, i to przede wszystkim po stronie wytworów przemysłowych, a nie rolniczych.

Trzecim czynnikiem, działającym na pogorszenie się położenia rolnictwa pośrednio, ale ściśle związanym z protekcją przemysłową, będzie ułatwiona dzięki niej kartelizacja przemysłu na rynkach wewnętrznych.

Prowadzi ona do monopolizacji, która powoduje dalszą zwyżkę cen produktów przemysłowych i, co jeszcze ważniejsze ze względu na koniunkturę, usztywnienie tych cen. Trzeba dużego natężenia kryzysu, by (jak to się dzieje obecnie) kartele zaczęły obniżać ceny i pękać pod naporem depresji.

Tak działa na rolnictwo interwencja po stronie przemysłu. Wywołuje ona naturalną, choć niezupełnie zgodną ze zdrowym rozsądkiem reakcję po stronie rolnictwa. Podnosi się cła na produkty rolnicze. Ten środek, skuteczny częściowo w krajach importujących zboże i mających znaczny i stały brak zboża krajowego, zawodzi łatwo w krajach zbliżonych do samowystarczalności rolniczej. Wielkość produkcji rolniczej nie jest wszakże z roku na rok obliczalna i ustalona.

Krajom, będącym w położeniu Polski, tj. mającym w latach urodzaju nadwyżki na eksport, niewiele mogą pomóc cła rolnicze. Nadwyżka ciąży na rynku wewnętrznym lub musi być sprzedawana ze stratą za granicą. Nie sposób zaś przeprowadzić w stosunku do produkcji rolniczej w całości, a zwłaszcza do zbóż, akcji dumpingowej w tych rozmiarach, w jakich stosowana jest np. przy cukrze.

Drugim objawem reakcji rolnictwa jest kontrpara kartelizacji przemysłowej w postaci *poolów* amerykańskich. Jakież są ich skutki? Czy mogą one odparować działanie monopolizacji przemysłu? Nie wydaje się to prawdopodobne. Bardzo trafnie zwrócił uwagę na różnice, jakie zachodzą między kartelizacją przemysłu a [kartelizacją – red.] rolnictwa, podczas dyskusji w Krakowskim Towarzystwie Ekonomicznym dr Wojciech Zaleski w sposób następujący.

Monopol w przemyśle podnosi ceny, ograniczając zarazem produkcję. Próby zmonopolizowania handlu rolniczego podnoszą ceny, nie wpływając na wielkość produkcji. Co więcej, pośrednio, dzięki podtrzymywaniu cen, zwiększają jej rozmiary. Rezultatem są wzrastające zapasy, które po pewnym czasie muszą się wydostać na rynek, powodując katastroficzny spadek cen.

Charakterystyczne jest tu następujące zestawienie: światowe zapasy pszenicy wynosiły w roku 1925/26 – 5,4 miliona ton, w 1930 roku – 12 milionów ton, stosunek zaś cen przemysłowych i rolniczych w Polsce był dla roku 1926 równy 105 : 106 (1914 = 100 : 100), w roku zaś 1930 był jak 103 : 84,5. Porównanie tych cyfr z bardzo nieznacznym przyrostem produkcji zbóż chlebowych w okresie 1925/30, któremu towarzyszyło ograniczenie produkcji

jęczmienia, owsa i kukurydzy, co w sumie dało niżkę produkcji żyta, pszenicy, owsa, jęczmienia i kukurydzy razem wziętych, uwypatnia, jak sądzę, rolę, jaką w kryzysie rolniczym odgrywają wszystkie wspomniane formy interwencji. Kto wie, czy nie na jej rachunek można by przypisać większą część owych nożyc, w których tkwi niemal bez przerwy rolnictwo polskie po wojnie. Dumping rosyjski należy też zaliczyć do aktów interwencji politycznej, nie zaś do zdarzeń o podłożu gospodarczym.

Zniżka cen produktów rolniczych powinna prowadzić do pomyślnej koniunktury przemysłowej, jeśli nie działają frykcje. Jeśli frykcje działają, i to, jak dziś, ze szczególnie dużym natężeniem, to kryzys rolniczy staje się jednym z powodów kryzysu przemysłowego. Prócz tego czynnika składa się na spotęgowanie depresji przemysłowej cały szereg innych względów. Najważniejszym bodaj jest interwencyjne usztywnienie płac. Dzięki interwencji władz są one sztywne, dzięki akcji związków robotniczych mają niejednokrotnie charakter monopolistyczny, tj. są nadmiernie wysokie.

Nadmierna ich wysokość jest oczywista, skoro się zważy, że bezrobocie w niektórych krajach staje się zjawiskiem chronicznie zaciągającym się i stałym. Interwencja, utrudniająca emigrację robotników z kraju do kraju, i działalność związków robotniczych, ograniczająca przepływ pracy z jednego do drugiego zawodu, dopełniają obrazu na rynku pracy. Te różnorodne usztywnienia nie dają korzyści warstwie robotniczej pojętej jako całość. Zwyżka płac jednostkowych ma jako skutek ograniczanie popytu na pracę i raczej zmniejszenie aniżeli powiększenie sumy płac, jaka ostatecznie przypada robotnikom. Odwrotny wypadek jest dla ogółu robotników nieprawdopodobny. Gdyby nawet bowiem zwyżka płac jednostkowych wyrównywała zmniejszenie się ilości zatrudnionych, tak że bezpośrednio suma płacy byłaby ta sama, to jednak odbija się to na efekcie pracy. Nie jest obojętne dla bogactwa społecznego i dla bogactwa samej warstwy robotniczej, czy pracuje tysiąc robotników, zarabiając po 6 złotych dziennie, czy sześciuset robotników przy płacy 10 złotych dziennie. W pierwszym wypadku rezultat pracy w postaci dorobionej sumy użyteczności będzie oczywiście o 66 procent większy. Część tego bogactwa musi przypaść warstwie robotniczej.

Skutek nadmiernych płac dla przemysłu jest oczywisty: zmniejszenie jego opłacalności. Mają one też skutek o szczególnie koniunkturalnym charakterze:

płace wyświdrowane ponad poziom, jaki by wynikał z produktywności pracy, skłaniają do tym szerszego przechodzenia do mechanizacji produkcji. Mechanizacja, uzasadniona rachunkiem gospodarczym, przy poziomie płac odpowiadającym produktywności pracy, nie prowadzi do zwiększenia bezrobocia. Inaczej jest w tym wypadku. Bezrobocie sztucznie się powiększa. Następuje raz jeszcze hiperinwestycja kapitału stałego. To wypaczenie proporcji musi znaleźć korektywę w załamaniu się koniunkturalnym<sup>4</sup>.

W Stanach Zjednoczonych obliczają mechanizację produkcji, jak następuje:

Rok	Produkcja przemysłowa	Ilość zatrudnionych robotników
1914	100	100
1927	170	115

Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że polityka wysokich płac w Ameryce przyspiesza nadmiernie mechanizację produkcji.

Skutkiem tych interwencyjnych czynników jest dalsza interwencja: opłaty na bezrobotnych. Pisarze angielscy stawiają twierdzenie, że bezrobocie w ich kraju jest skutkiem zbyt wysokich zasiłków na bezrobotnych.

Cała ta sztuczna konstrukcja zaczyna się walić. Przeżywamy z koniecznością nadchodzący okres spadku płac, który przejawia się we wszystkich krajach dotkniętych kryzysem.

Dopiero w zestawieniu z faktem związania płacy i prób reakcji w postaci protekcjonizmu przemysłowego i monopolizacji, tj. związania cen, teoria o grożącej konkurencji krajów egzotycznych nabiera pełnej siły przekonywającej. Istotnie, przy płacach i obciążeniach społecznych, jakie ma Anglia, względnie przy poziomie płac sztucznie utrzymywanym przez zakazy imigracyjne w Stanach Zjednoczonych zdolność konkurencyjna tych krajów z tanią produkcją azjatycką, czy nawet rosyjską, staje pod znakiem zapytania.

Po tym rzucie oka na kryzys dwóch działów produkcji: rolnictwa i przemysłu, przejdziemy do zagadnień obrotu.

Stosunki pieniężne świata powojennego charakteryzuje odbiegnięcie od pełnej waluty złotej i przejście w szerokiej mierze do waluty manipulowanej. Jest to równoznaczne z zerwaniem automatyzmu, jaki tkwił w wolności bicia i

---

<sup>4</sup> Uwagę tę zawdzięczam prof. Krzyżanowskiemu.

przewozu złota, i tym samym z wyjęciem organizacji pieniężnej z wolnej gry życia gospodarczego. W ustrojach pieniężnych powojennych tkwi więcej prawa, a mniej gospodarki niż przed wojną. Obojętne, czy prawo to ma charakter ograniczeń, czy przywilejów.

Odbija się to na kredycie, odbija się również na kwestii złota. Pokrycie bywa duże lub małe, ale przede wszystkim jest dowolne. Dyktowane jest konwenansem lub przewidywaniami politycznymi, nie zaś działaniem sił życia gospodarczego. Słusznie podnosi się złą repartycję złota w gospodarce światowej.

Jest ona następująca. Z ogółu złota przypada na: Stany Zjednoczone 50 procent, Francję 25 procent, wszystkie inne państwa 25 procent. W bankach emisyjnych leżą następujące ilości: Federal Reserve Banks 35 procent, Bank Francuski 17 procent, Bank Angielski 7 procent; na czterdzieści dwa pozostałe państwa biorące żywszy udział w życiu gospodarczym przypada zatem zaledwie 38 procent ogółu złota.

Co więcej, jak wykazuje Cassel, w ciągu 15 miesięcy (od czerwca 1929 do września 1930) przybyło Stanom Zjednoczonym i Francji 665 milionów dolarów złota, gdy tymczasem produkcja wynosiła w tym czasie około 500 milionów dolarów.

Następuje więc widoczne pogorszenie rozdziału złota kosztem krajów, które już były pokrzywdzone. Jeżeli ta polityka (podkreślam to słowo) będzie nadal utrzymana, to, według Cassela, Stany Zjednoczone będą w roku 1942 ściągać do siebie więcej od rocznego przyrostu złota. Z drugiej strony, zapasy Banku Angielskiego stopniały poniżej granicy uważanej powszechnie za dopuszczalne minimum, tj. poniżej 150 milionów funtów szterlingów.

Sprawa złej repartycji nie jest wyłącznie kwestią polityki banków emisyjnych Stanów Zjednoczonych i Francji. Jest ona także wynikiem interwencjonizmu w innych dziedzinach. Anglia traci złoto, bo jej produkcja jest, dzięki wysokości płac i świadczeń społecznych, zbyt droga. Ceny towarów importowanych przez Anglię wzrosły w stosunku do przedwojennych o 18 procent. Ceny produktów eksportu angielskiego podniosły się o 51,3 procent.

Kapitał pieniężny nie szuka lokat w krajach, gdzie go brak na skutek politycznego braku zaufania i braku zaufania do gospodarki ewentualnych dłużników. Stąd kraje takie jak Francja wolą robić niewątpliwie zły interes,

tezauryzując zapasy złota, niż narażać się na ryzyko straty. Wierzycieli musi sceptycznie usposabiać fakt, że państwa kandydujące do roli dłużników zdolne są spłacać swoje długi tylko przy pomocy zaciągania nowych pożyczek. Jeżeli do tego dodamy ten prąd pieniężny, jaki przepływa wbrew warunkom ekonomicznym, w związku z długami wojennymi, a które dla samych Stanów Zjednoczonych stanowią kwotę 12 miliardów dolarów, to łatwo nam będzie przedstawić sobie obraz komplikacji, jakie w stosunki pieniężne współczesnego świata wprowadzają momenty interwencji i polityki.

Pozostaje sprawa etatyzmu *sensu stricto*, przez co pojmuję wzrost budżetów państwowych i innych przymusowych obciążeń gospodarki prywatnej. Niejednokrotnie broniono wysokości tych obciążeń w Polsce argumentem, że gdzie indziej obciążenia są znacznie większe. Ta obrona była teoretycznie zupełnie nieuzasadniona, bo porównań takich mechanicznie przeprowadzać nie można. Okazało się jednak, że i ich empiryczna podstawa zawodzi. Istotnie, obciążenia budżetowe (w złocie) wzrosły od czasów przedwojennych we Francji o 100 procent, w Niemczech o blisko 200 procent, w Anglii o 400 procent<sup>5</sup>, we Włoszech o 100 procent, w Polsce o 100 procent, ale też na dłuższą metę okazały się nie do utrzymania. Zniżki budżetów we Włoszech i w Niemczech, deficytowość budżetów szeregu państw wymownie świadczą, że przekroczone tu granice rozsądku i możliwości. Obciążenia wzrastały dzięki naciskowi kwestii społecznej, długom wojennym, pensjom inwalidów, wzrastały, słowem, pod naciskiem sił polityczno-społecznych. Co z punktu widzenia koniunkturalnego oznaczał ten proces rozrostu? Wzrost gospodarki państwowej to w pierwszej linii wzrost konsumpcji, kosztem kapitalizacji. Jeżeli państwo dalej inwestuje pieniądze podatkowe, jest to skierowanie pewnej sumy sił gospodarczych, które by szły w kierunku kapitalizacji rentownej, ku produkcji nierentownej. Ogólnie mówiąc, jest to obniżenie rentowności gospodarki społecznej, jej zamrożenie i usztywnienie.

Co więcej, można postawić paradoksalne na pozór twierdzenie, że rozrost gospodarki państwowej działa od pewnego punktu inflacyjnie, choć nie jest

---

<sup>5</sup> Niezmiernie charakterystyczne jest następujące zestawienie cyfrowe: ilość pracowników we wszystkich działach życia gospodarczego w Anglii i Walii wzrosła w r. 1921 w stosunku do r. 1911 o 160 tysięcy, ilość pracowników państwowych i samorządowych wzrosła w tymże czasie o 400 tysięcy. (Por. tabelę na s. 8 memorandum Pigou: *The Economic Position of Great Britain*, 1927).

związany z inflacją na cele państwowe. Jeżeli mianowicie utrzymuje się ta sama ilość pieniądza przy zmniejszonej produkcji, jest to niewątpliwa inflacja. Popularnie mówiąc, stwierdzamy, że wzrost podatków musi *à la longue* podnosić ceny. Znajdujemy tu więc jeszcze jeden element podtrzymujący twierdzenie o monetarnym pochodzeniu kryzysu.

Przeglądając poszczególne kraje najbardziej dotknięte kryzysem, widzimy, że w każdym z nich te same elementy interwencji i etatyzmu występują w różnej formie i różnej kombinacji. Wszędzie zaostrzają kryzys i utrudniają wyjście na drogę poprawy.

Najbardziej liberalny dziś kraj świata, Stany Zjednoczone, cierpi jednak niewątpliwie, dzięki błędnej polityce zbyt niskiej stopy procentowej, dzięki utrzymywanemu sztucznie zakazami imigracji poziomowi wysokich płac, dzięki cłom, które ograniczają handel zagraniczny i powodują zmniejszenie zbytu na produkty amerykańskie oraz sprzyjają rozwojowi trustów, dzięki wreszcie polityce nadmiaru złota.

Anglii, krajowi *par excellence* nastawionemu handlowo, utrudniają w najwyższym stopniu konkurencję na rynkach międzynarodowych ogromne obciążenia podatkowe, poziom płac, dwukrotnie wyższy niż przed wojną, obciążenia socjalne, które wzrosły sześciokrotnie w stosunku do przedwojennych. Niemcy przeżyły okres inflacji kredytowej, która wywoływała hiperinwesticje. Wysoka ochrona celna jest urodzajnym gruntem dla usztywnienia cen kartelowych. Płacą Niemcy za sztuczną hodowlę swojego rolnictwa, cierpią na zbyt wysokie podatki. Włochy, gospodarowane antyliberalnie przez Mussoliniego, włożyły wielkie wartości w inwestycje, a nie dopomaga im też kurs samowystarczalności, której objawem jest *battaglia del grano*. Polska ponosi bodaj wszystkie ciężary interwencji i etatyzmu. Ma nadmierne jak na jej siły podatki, poważne obciążenia społeczne, usztywnione płace, typowo interwencyjną politykę stopy procentowej, jedną z najwyższych ochron celnych przemysłu, ochronę celną rolnictwa, ograniczenia, wciąż zmieniane, w obrocie zboża, trudności w obrocie ziemią.

Życie gospodarcze, wyprowadzone przez kryzys z równowagi, ma wszędzie naturalne tendencje powrotu do nowej równowagi. Te tendencje są zarazem jedyną, trzeba to podkreślić, jedyną drogą naprawy. Jakież byłyby te ruchy, które wynikłyby same przez się, gdyby życie wyzwolić z krępujących je

więzów? Byłyby to: a) przepływ towarów, b) przepływ kapitałów pieniężnych, c) przepływ ludzi z kraju do kraju. To samo odbywałoby się na gruncie nie geograficznym, ale gospodarczym. Nastąpiłby przepływ kapitałów z jednych gałęzi do drugich, przepływ pracy z jednych zawodów do drugich. Musiałyby spaść płace, ceny detaliczne, ceny produktów przemysłowych. Stosunkowo podniosłyby się ceny produktów rolnych. Nastąpiłoby wyrównanie rozpiętości stopy procentowej w poszczególnych krajach i w obrębie jednego kraju, co powiększyłoby zasoby kapitału obiegowego. Zmniejszenie ciężarów publicznych zwiększyłoby możliwości kapitalizacji i zmniejszyło konsumpcję. Zmniejszyłoby się zadłużanie się jednostek. Wszystkie rodzaje nożyc musiałyby się szybko przymykać. Życie gospodarcze znalazłoby swój nowy poziom równowagi. Życie to jednakże tkwi w dławiącej sieci zakazów i nakazów. Nie może się z niej wyzwolić. Wielkie jego połączenia są usztywnione i mają arterie podwiązane. Wykazują dzięki temu zdrętwienie, niedalekie obumarcia. Zawodzi nie kapitalizm i nie liberalizm, któremu trudno robić zarzut, że nie istnieje, zawodzi interwencja i etatyzm.

Zawodzą nie tylko w tym znaczeniu, że są w wysokim stopniu współwinne z obecną nędzą, zawodzą także, ilekroć sięga się do ich arsenału, chcąc życie gospodarcze popierać i ratować. Pomysły takie, jak rozszerzanie inwestycji państwowych przez Hoovera dla zatrudnienia bezrobotnych z pieniędzy podatkowych, pogłębiają tylko depresję i odsuwają chwilę wyzdrowienia. Rozszerzenie kredytów państwowych przy spadających cenach produktów nie jest niczym innym jak odwlekaniem i pogłębianiem bankructwa. Pożyczki zaciągane przez państwa czy to na cele łatania budżetów, czy na cele inwestycyjne nie są niczym innym jak nowym podnoszeniem obciążeń podatkowych.

Czyż więc kierownicy polityki ekonomicznej mają się pocieszać, że poprawa sama przyjdzie? Czy mają naśladować, jak mówi Cassel, człowieka siedzącego w ciemnym pokoju i wyczekującego, aż światło elektryczne samo zabłyśnie?

Oczywiście, nie. W ręku kierowników polityki ekonomicznej znajduje się środek niezawodny, który musi przyspieszyć regenerację życia gospodarczego, jest nim: rozluźnienie krępujących życie gospodarcze więzów.

W Polsce niemało jest w tym punkcie do zrobienia. Zniżka ceł, która zmusiłaby kartelety do zniżki ich usztywnionych cen, zmiana polityki Ministerstwa



Pracy (które np. utrzymało na rok bieżący dawne płace w rolnictwie, przyjmując za punkt wyjścia cenę 1 cetnara żyta 40 złotych!<sup>6</sup>), wydatna niżka budżetów: państwowego i samorządowych, zmniejszenie raczej ilości urzędników i pracowników państwowych aniżeli niżka płac, zasadniczy zwrot w naszej polityce stopy procentowej, oto są środki, które przyśpieszyłyby na pewno powrót do równowagi gospodarki polskiej.

Życie samo przez się powoli ją przywróci. Płace już spadają. Jeżeli budżet nie zostanie zmniejszony formalnie, to zmniejszą go faktycznie podatnicy. Tylko bez świadomej współpracy polityki ekonomicznej wszystko to przyjdzie wolniej i trudniej.

W artykule swoim starałem się wskazać te punkty, w których ograniczenia liberalizmu potęgują i przewlekają kryzys. Prysłły złudzenia, żywione do niedawna przez wielkokapitalistyczne, ale antyliberalne koła w Stanach Zjednoczonych, którym się zdawało, że polityka trustów z jednej strony, a manipulacje kredytowe z drugiej mogą zapobiec kryzysom, że zatem kapitalizm „związany” i „planowy” jest wyższym ustrojem od ustroju wolnokonkurencyjnego. Spotyka się także i z drugiej strony głosy dowodzące, że stoimy wobec bankructwa kapitalizmu liberalnego. Zwolennicy tej tezy widzą wyjście z ciężkiej sytuacji w zasadniczej przebudowie ustroju, czy to w kierunku kolektywizmu, czy bliżej nieokreślonych form syndykalistyczno-korporacyjnych.

Uważam za złudzenie przypuszczać, że interwencja i etatyzm nieoparty na doktrynie, to jest taki, jaki obecnie obserwujemy, w praktyce jest zły, a wkroczenie planowego przymusu może życie gospodarcze uzdrowić. Skutkiem prób takiej przebudowy byłoby tylko jeszcze większe usztywnienie życia gospodarczego i jeszcze mniejsza jego zdolność dostosowywania się do zmieniających się warunków.

Interwencja, powtarzam, łatwo może być szkodliwa — dopomóc życiu gospodarczemu nie może. Jej optimum to akcje obojętne, bo bezskuteczne. Do takich należały przedsiębrane tu i ówdzie próby obniżania cen detalicznych na drodze administracyjnego nacisku. W formie, w której próby te były przedsiębrane, były one dosyć nieszkodliwe, bo nie mogły dać rezultatów. Ceny

---

<sup>6</sup> Suma płac realnych utrzymuje się w Polsce w stosunku do r. 1927 na mniej więcej równym poziomie. Wartość produkcji przemysłowej wynosi 37% wartości z r. 1927.

dzięki tej akcji nie spadną. Spadną natomiast zapewne dzięki działaniu sił ekonomicznych. Ci zaś, którzy by się łudzili co do skuteczności tych zabiegów, przypominają żywo Chanteclera, który był przekonany, że piejąc, wywołuje wschód słońca.